

1933–1939), „Czartak” (Wadowice, 1922–1928), „Wieś – Jej Pieśń” (Naprawa, 1933–1936), „Gronie” (Żywiec, 1938–1939), „Gazeta Podhalańska” (Nowy Targ, 1913–1935), „Gazeta Podhala” (Nowy Targ, 1936–1939).

Niektóre z tych pism były kontynuowane po roku 1945, m.in. „Echo Chełmka”, „Hasło Ogrodniczo-Rolnicze”, „Homo Dei”, „Gazeta Podhalańska”. Do tradycji „Groni” nawiązała „Karta Groni” (ukazująca się od 1968 r.); po wydaniu 24 n-rów w 2006 r. powróciła – jako półrocznik – do dawnego tytułu. Nie dostrzegł autor, że i „Gazeta Żywiecka” L. Mojżyszka znalazła kontynuatora w postaci „Gazety Żywieckiej” – pisma... o orientacji lewicowej, ukazującej się od 1988 r. Nie jest to przypadkowe wykorzystanie tytułu. Redakcja „Gazety” z wielką estymą odnosi się do swej (mimo wszystko niechwalebnej) poprzedniczki. Często wręcz na okładce jako rok założenia podawano 1925 r.

Wspominając o różnym poziomie tych pism, jestem daleki od ich dewaluacji. Każde z nich na swój sposób było organizatorem lokalnego życia społeczno-politycznego i społeczno-kulturalnego. Stąd ich wielkie znaczenie dla badaczy regionalistów. Warto w tym miejscu wspomnieć o piśmie jasielskiej młodzieży „Młody Geograf” (1930, 1932–1938), które można wręcz uważać za konkurenta dla krakowskiego ogólnopolskiego „Orlego Lotu”. To samo można powiedzieć o „Młodym Tatarniku”, piśmie zakopiańskiej młodzieży z lat 1934–1935.

Dla każdego chcącego korzystać z prasy krakowskiego województwa z okresu międzywojnia książka Jacka Lachendry jest wyśmienitym, erudycyjnym przewodnikiem, rozwiązującym wiele zagadek z dziejów tej prasy. Tego rodzaju opracowaniem może poszczycić się niewiele regionów. Trudno mi w tej chwili wymienić inne opracowania, które mogłyby z nim konkurować. Nie tylko z uwagi na bogactwo zawartego tu materiału, ale i erudycję autora, umiejętność zachowania obiektywizmu wobec opisywanych zjawisk.

Sylwester Dziki
*Historia Żywca widziana
z Rynku*

Mirosław Miodoński,
Rynek w Żywcu przez wieki,
Żywiec 2006, 272 s.

W dorobku badawczo-wydawniczym Towarzystwa Miłośników Ziemi Żywieckiej – obok reedycji *Dziejopisu żywieckiego* Andrzeja Komonieckiego z 1987 r. jest to chyba najistotniejsza pozycja.

Rynek w Żywcu przez wieki Mirosława Miodońskiego nie jest monografią centralnego placu miasta – jest historią kulturowo-obyczajową Żywca pisaną z perspektywy Rynku. W takim spojrzeniu na interesującą książkę M. Miodońskiego jestem w zgodzie z autorem, który w słowie wstępnym napisał:

praca jest monografią centralnego placu miasta Żywiec. Jest raczej zbiorem szkiców nawiązujących do tego miejsca w przestrzeni społecznej, zwłaszcza zaś jest opowieścią o ludziach, których losy w ciągu wieków splotły się z żywieckim Rynkiem. Wśród nich spotykamy mieszczan – kupców i rzemieślników, burmistrzów i wójtów – ale też

arystokratów, biskupów, królów Polski i cesarzy austriackich. Węgierskie ślady w historii miasta, Niemcy i Żydzi, którzy w nim się pojawiali, trunki, hazard i wiele innych wątków przewija się przez tę opowieść, dla której Rynek jest punktem centralnym w wielkim świecie (s. 9).

W swej książce autor często używa określenia „mój Rynek”. Jestem głęboko przekonany, iż każdy żywczanin, który sięgnie po książkę M. Miodońskiego (a będzie ich sporo) po skończonej lekturze będzie próbował zrekonstruować swój własny obraz Rynku. Osobiście posiadam również swój własny obraz Rynku. A nawet dwa obrazy: jeden z lat szczenięcych (ściślej: gimnazjalnych) – wtedy buszowaliśmy po Rynku, zwłaszcza w środy. Wiadomo: dzień targowy, liczne kramy, niepowtarzalna atmosfera sprzedających i kupujących. W inne dni zagląдалиśmy do Bielewiczów – na rogu Rynku i ul. Kościuszki, wspinała księgarnia. Szczególną estymą darzyłem kiosk-trafikę pod dzwonnica. Duży wybór gazet i czasopism – całkowicie mnie zadawała; tu kupowałem systematycznie „Dziennik Polski”, „Rolnik Polski” (świetne dodatki powieściowe, które jeszcze dziś potrafię wyliczyć), „Odrodzenie”, „Tygodnik Powszechny”, „Poznaj świat”, „Płomień” (nie mylić z „Płomieniami”, bo to zupełnie inne pismo). Rzadziej zaglądałem do muzeum, apteki, czy piekarni Molińskich. Częściej gościłem w drogerii Pucińskich (czy dziś można spotkać tak elegancko wystrojonego sprzedawcę za ladą?).

I drugi obraz w wieku podeszłym. Gdy znajdę się na Rynku, to stanę pod dzwonnica (dobry punkt obserwacyjny Rynku) spojrzę na Ratusz, na północną pierzeję i udam się do „Malwy”. Jeżeli z jakichś powodów nie odwiedzę „Malwy” to znaczy nie byłem na Rynku, nie byłem w Żywcu. Jeszcze jedno: nieznacznie wychylam nosa poza Rynek: albo udaję się na cmentarz, albo przed siedzibę Towarzystwa Miłośników Ziemi Żywieckiej – w witrynach zobaczę nowości wydawnicze.

Dziś Rynek nam wypiękniał, ale trochę stał się pusty. Ożywia się jedynie w okresie Tygodnia Kultury Beskidzkiej. A przecież kiedyś (to było dawno) nie należał do miejsc urokliwych (L. de Laveaux zanotował: „błotnisty i garbaty rynek”).

Autor w słowie wstępnym zaznacza, iż układ książki nie jest ściśle chronologiczny – jest raczej tematyczny. Mnie to (i chyba innym czytelnikom) nie przeszkadza, odwrotnie: pozwala mi śledzić w dużym stopniu wątki monotematyczne. W lekturze tej książki przeszkadza mi zupełnie co innego. Książka jest przeładowana przypisami (849!), które zajmują ponad 15% objętości książki. To nie zarzut. Zostały one jednak umieszczone pod koniec książki (s. 183–227). Istnieją dwie kategorie czytelników; jedni pomijają w ogóle przypisy (ileż oni tracą ciekawych, interesujących informacji), drudzy zaś (a ja należę do nich) czytają głównie przypisy, zaś tekst jest jedynie uzupełnieniem. Stąd lektura tej interesującej książki nie była łatwa, ale ją przeczytałem.

Spacerując dziś po Rynku, mijając poszczególne kamienice – do czasu lektury książki M. Miodońskiego – nigdy nie uświadamiałem sobie, ileż ciekawych w ich murach rozgrywało się epizodów tworzących historię Żywca. Oczywiście wyjątkiem był – rzecz zrozumiała – Ratusz, choć zaskoczyła mnie jego bogata historia, czasami wywołująca dreszczyki (tortury Błażka Włocha z Soli). Ale ciekawe są informacje związane z kamienicą Fuhrmanów i ich następców, zawierany tu romansami (m.in. Leokadii Zawichowskiej i Antoniego Michałowskiego), winiarniami i karczmami (niewiele tu informacji o piwie, choć niektórzy twierdzą, iż Żywiec piwem stoi; potwierdza to widok współczesnego Rynku), a także grammi hazardowymi (w kamienicy wspomnianych powyżej Fuhrmanów). Ważne

miejsce w dziejach Żywca zajmuje kamienica mecenasa Józefa Wozaczyńskiego – barwnej postaci Żywca. Warto wspomnieć o licznych manifestacjach patriotycznych (to z Rynku grupa żywczan wyrusza do Legionów), religijnych. W książce wreszcie znajdujemy sylwetki zasłużonych dla Żywca rodów. Obok wspomnianego już J. Wozaczyńskiego wymienić trzeba m.in. Bielewiczów, powszechnie znanego Andrzeja Komonieckiego, Maultzów, Miodońskich, Obtulowiczów, Rybarskich i in.

Podsumowując swe rozważania autor napisał:

Rynek w Żywc u swego początku w XV wieku pojawia się opodal pierwszego miasta jako obozowisko przybyszów. Zaś ludność przemieszczała się wtedy, gdy czasy były niespokojne – najpierw wojny husyckie i zbójceki proceder uprawiany przez niektórych możnowładców, a potem jedyna w dziejach wojna polsko-węgierska. Przesłanki natury urbanistycznej wespół z mglistymi zapisami źródłowymi o burzliwych losach tej ziemi w XV wieku pozwalają powątpiewać, że istniejący współcześnie centralny plac miasta powstał w wyniku realizacji dokumentu lokacyjnego. Był on raczej wynikiem spontanicznego procesu tworzenia się nowej społeczności, który zachodził w toku dynamicznych wydarzeń politycznych.

Przybywający ludzie z reguły wnosili ożywczy impuls dla dalszego rozwoju miasta. Przypuszczalnie w II połowie XV wieku w Rynku osiedli przybyli z Królestwa Węgier dworzanie hrabiów Komorowskich. Wkrótce potem wielu rodowitych mieszczan ze Starego Żywca przeniosło się na nowe miejsca bliżej Zamku, gdyż zapewne dostrzegli ekonomiczne korzyści płynące z tej zmiany, a częste wylewy rzeki Soły na ich domostwa i pola dodatkowo skłaniał tych ludzi do przenosin. Obie społeczności zaczęły się też łączyć więzami rodzinnymi. W rezultacie przez wieki Rynek był zamieszkiwany przez najznacniejszych mieszczan, nierzadko związanych z administracją zamkową za czasów kolejnych właścicieli państwa żywieckiego. W okresie zaborów zaczęli się pojawiać na Rynku ludzie z różnych stron monarchii habsburskiej [...]. Wnosili oni przez swą wiedzę, osobowość i pieniądze istotny udział w życiu miasta. [...]

W dokumentach coraz częściej pojawiał się język niemiecki lub jego naleciałości. Ale z czasem powstała warstwa inteligencji, która przechowała ideę polskości i oddziaływała przez nią na ogół mieszkańców miasta. Obserwowaliśmy przejawy zwycięskiej rywalizacji polskości z niemczyzną, przychodzącą głównie od strony Bielska, acz nurt ten powinien być raczej kojarzony ze stołecznym Wiedniem. „Sarmacki z urodzenia” strój żywiecki zaczął wtedy symbolizować sukces polskości. W czasach odrodzonej Rzeczypospolitej – pojawiła się nowa nazwa placu* wyrażająca z pewnością dumę narodową, ale i rosnący udział polityki państwowej w życiu mieszkańców miasta. Widzieliśmy potem diabelską przewrotność, z jaką III Rzesza wykorzystała wieki historii dla swej złowieszczej polityki. W końcu zaś przyglądaliśmy się w jaki sposób historia zaglądała na Rynek po II wojnie światowej (s. 181–182).

* Rynek często zmieniał nazwę: od 1936 r. – Plac Marszałka Józefa Piłsudskiego; w czasie okupacji Ringplatz; w 1945 r. powrócono do dawnej nazwy (używanej już XVII w.) – Rynek; od 1950 r. Plac Zjednoczenia, od 2000 r. wrócił do nazwy pierwotnej.

Książkę uzupełniają cenne opracowania dokumentacyjne, m.in. bibliografia, zestawienia właścicieli budynków w kilku przekrojach chronologicznych (1667, 1715, 1790, 1874, 1939, 2000), lista założycieli Spółdzielczej Kasy Rękodzielniczej (1912), kalendarium ważniejszych wydarzeń związanych z dziejami Rynku, przegląd zmian w nazewnictwie ulic w rejonie Rynku od XVII w. do współczesności.

Dodatkowego waloru książce dodaje bogata ikonografia – zarówno fotografie, jak również ilustracje Sylwii Sas-Jasickiej. Po wnikliwej lekturze (którą utrudniało mi poszukiwanie przypisów) podtrzymuję wcześniej wyrażoną opinię – jest to najistotniejsza – jak dotąd – pozycja w dorobku edytorskim Towarzystwa. Miłośnikom dziejów Żywca marzą się kolejne pozycje, m.in. ul. T. Kościuszki, Rudza – dziś utrwalona w znikomym stopniu. Również wnikliwego badacza i kronikarza (jakim okazał się Mirosław Miodoński) oczekuje Zabłocie

Sylwester Dziki

***Mistrz ludowych typów,
zabytkowej architektury,
krajobrazów***

Tadeusz Z. Bednarski,
Krakowskim szlakiem Juliana Fałata,
Kraków 2005, 256 s.

To piąty już z kolei edytorsko wysmakowany albumik z cyklu „Krakowskim szlakiem...” poświęcony Julianowi Fałatowi.

Niełatwa była droga krnąbrnego syna wiejskiego nauczyciela i organisty z kresów wschodnich do godności dyrektora (rektora) Szkoły Sztuk Pięknych (to dzięki jego zabiegom u cesarza Franciszka Józefa I Szkoła ta uzyskała status i nazwę Akademii Sztuk Pięknych). Najpierw były szkoły we Lwowie, Przemyślu, potem wymarzone studia (w skrajnej biedzie) u J. Matejki, pobyt w Warszawie a następnie za granicą (Zurych, Monachium); dłużej przebywał w Berlinie na zaproszenie cesarza Wilhelma II jako nadworny malarz scen myśliwskich. W 1895 r. wraca do Krakowa. Choć nie podjął zajęć dydaktycznych w Szkole, to placówce tej poświęcił wiele wolnego czasu i energii. Zreformował szkolnictwo artystyczne w Krakowie. Przede wszystkim malował – zafascynowany był pięknem architektonicznych zabytków Krakowa, które mógł podziwiać z okien Akademii i balkonu domu przy ul. Basztowej 19. Szczególnie umiłował stare obronne mury, wieże – malowane w różnych latach, w odmiennych porach roku i w różnych częściach dnia. Oczywiście piękno zabytków Krakowa artysta utrwalał nie tylko z okien szkoły. Utrwalał piękno bliższych i dalszych okolic Krakowa – „Błonia podkrakowskie”, „Dolina Bolechowska”, liczne pejzaże – z Dębna (wg T.Z. Bednarskiego oczarowany prostotą architektury zamku), Kalwarii Zebrzydowskiej, czy Zakopanego (wiele portretów okolicznych typów ludności).

Był oczarowany zabytkami, które utrwalał różnymi technikami malarskimi. Najwybitniejsze dzieła z tego zakresu szczegółowo omawia i analizuje autor, ilustrując je odpowiednimi reprodukcjami – to efekt pracy Jego małżonki p. Zofii. Dodajmy, iż w murach szacownej Akademii wiele uwagi poświęcano malowaniu krajobrazów („szkoła krajobrazowa” Jana Stanisławskiego). Wyrazem żywego zainteresowania tą problematyką